

mniej, bo woda pozostawiona w kubkach zamarzała. Sporo wcześniej, przed każdym spotkaniem trzeba było napalić w tzw. kozie (wyjaśnienie dla młodzieży – „koza” to nie tylko areszt, słowo to oznacza również wolnostojący niewielki żeliwny piecyk na węgiel i wszystko inne co dawało się spalić). W kościele było jeszcze trudniej, bo trzeba było przed każdym nabożeństwem napalić w kotłowni. A dopiero „siarczyście” odbywały się zimowe nabożeństwa żałobne w Kaplicy Halpertów przy ul. Młynarskiej! Tu młody adept organowy zdobywał szlify wirtuoza, pedałując na fisharmonii w ciężkim paltocie, grubym szaliku, w rękawiczkach z obciętymi końcówkami na opuszki palców (pamiętam, że moda taka królowała też wówczas wśród straganiarek na zieleniakach). I w takim klimacie młody Wiktor ukończył Akademię Muzyczną na Wydziale Pedagogicznym. Przez lata akompaniował chórowi prowadzonemu przez p. Wandę Janowską (z domu Wiediger), która później objęła chór Parafii św. Trójcy, wielu instrumentalistom, także na gościnnych występach w Żyrardowie. Te wspomina z uśmiechem, bo za pierwszym razem nie zdawał sobie sprawy, że jakiś biedak kalikował (nogami obstrugiwał dmuchawy, bo organy nie miały motoru). Kiedy organista próbował grać forte, po chwili dźwięk „zdychał”, bo „miechowy” nie nadążał z pompowaniem. Wyobrażam sobie, że po nabożeństwie taki „kalikant” był już bardzo wypompowany! Kto pamięta jednak występy wokalne naszego parafianina, pana Eugeniusza Szulca, ten wie, że artysta ów nie miał lepszego akompaniatora nad Wiktora Szajera, wyczulonego na specyficzną, nad wyraz emocjonalną interpretację wykonywanych przez pana Eugeniusza utworów! A do tego organy często się psuły i razem z panem Stanisławem Milerskim spędzać musieli długie chwile na usuwaniu ich usterek.

Wiktor Szajer ożenił się bardzo młodo z koleżanką ze studiów, Wandą Pietraszewską. Są wzorem miłości i wierności małżeńskiej, w kwietniu obchodzili uroczyste 50-lecie ślubu. Brat Wiktora – Jerzy zakochał się w siostrze Wandy – Emilii. Do dziś te dwa małżeństwa łączy nie tylko silna więź rodzinna, lecz również szczególna przyjaźń. Spotykają się co najmniej dwa razy w tygodniu i chętnie spędzają wspólnie wolne chwile, dbając też, by silne więzy łączyły ich dzieci i wnuki. Ta więź i ogromne psychiczne wsparcie pomogło rodzeństwu walczyć z bardzo poważnymi chorobami nowotworowymi.

Wiktorowie mają dwoje dorosłych wnuków, niedawno do grona tego przybył uwielbiany przez wszystkich trzeci – Jakubek, aktualnie posiadacz dwóch pięknych mlecznych zębów. Utrzymują też bardzo bliskie kontakty z siostrą od lat przebywającą w Stanach Zjednoczonych. Dzwonią, piszą, przesyłają filmy i zdjęcia rodzinne, dzięki którym rozłąka wydaje się mniej bolesna.

Wiktorowie - obydwie od lat już są na emeryturze, nadal jednak są czynni zawodowo. Są bardzo lubianymi i szanowanymi nauczycielami, chociaż niezwykle trudno obecnie znaleźć się w gronie ich uczniów.

Wiktor Szajer jest bardzo skromnym, ciepłym człowiekiem. Chyba wszyscy w naszej rodzinie (i w gronie przyjaciół rodziny) są zgodni co do tego, że jest dla nas kimś wyjątkowym i ogromnie przez wszystkich lubianym. Łagodny charakter, poczucie humoru i szczególna otwartość oraz wrażliwość sprawiają, że do Wikusia (tak go wszyscy w rodzinie nazywamy) przychodzą wszyscy przytłoczeni problemami. A on pomaga je rozwiązać, pozwala się wyżyć, a w sporach występuje jako skuteczny

Pamiętajmy, że trud bycia wiarygodnym świadkiem Chrystusa spoczywa na każdej i na każdym z nas z osobna oraz na nas jako na wspólnocie zgromadzonej wokół Jego osoby. To On jest Głową i Najwyższym Autorytetem swojego Kościoła – jednego, świętego, powszechnego i apostołskiego.

ks. dr Dariusz Chwastek

Warszawa, 23.10.2013 r.

Słoneczny uśmiech

Francuski pisarz Wiktor Hugo napisał kiedyś, iż „uśmiech jest jak słońce, które spędza chłód z twarzy”. Trzeba przyznać, że to stwierdzenie sprawdza się w życiu. W czasie lata, wakacji, urlopów większość ludzi chodzi zazwyczaj uśmiechniętych i życzliwych w stosunku do otaczającego ich świata. Jednakże taki widok zanika, kiedy zaczyna się jesień. Wtedy wszystkich dookoła przenika dziwna melancholia. Może i jest mniej słonecznych dni, a więcej szarych i deszczowych, ale przecież jesień to także kasztany i kolorowe liście spadające z drzew, które tworzą na chodnikach różnobarwny dywan. Niebo pochmurne, drzewa mieniące się kolorami, a ludzie... No właśnie, dlaczego ludzie są ponurzy i przygnębieni? Dlaczego wtedy tak trudno o pogodne oblicze? Przecież to, czy ludzie będą dla siebie życzliwi, obdarzając się wzajemnie słonecznym uśmiechem, nie jest uzależnione od pogody. Najważniejsze jest pozytywne nastawienie do ludzi, świata i zmieniających się pór roku.

Nie chodzi mi o to, że gdy ktoś ma swój zły dzień, to mimo tego powinien obdarzać wszystkich uśmiechem i robić tzw. „dobrą minę do złej gry”. W końcu każdemu zdarza się przeżyć chwile zwątpienia. Wiem z własnego doświadczenia, że wtedy najlepiej spędzić trochę czasu samotnie. Ale gdy największy kryzys minie, dobrze jest spotkać się z przyjaciółmi, którzy sprawią, iż na naszej twarzy na nowo zagości uśmiech. Czasami, gdy i mnie dopada stan przygnębienia, przypominam sobie przyjacielskie gesty życzliwych mi osób, bo przecież „wspomnienie uśmiechu pozostaje na zawsze”.

Jest również takie powiedzenie, że „kiedy nie wiesz, co zrobić, uśmiechnij się”, gdyż nie od dziś wiadomo, iż uśmiech przetamuje różne bariery w kontaktach z innymi. A najczęściej jest tak, że kiedy obdarzamy kogoś uśmiechem, to ta osoba odpowiada nam w ten sam sposób.

Pewien pisarz, Bruno Ferrero, w jednej ze swoich książek zawarł piękne stwierdzenie, które w pełni odzwierciedla charakter mojego tekstu – „Z pewnością tego ranka ktoś się do ciebie uśmiechnął, nawet jeśli tego nie spostrzegłeś. Na pewno dzisiaj ktoś czeka na twój uśmiech. Kiedy wejdiesz do kościoła i całą duszą otworzysz się na ciszę, spostrzeżesz, że Bóg pierwszy przyjmuje cię z uśmiechem”.

Bożena Nurzyńska